

Kronika tygodniowa.

Czarna melancholia ogarnia mnie na samą myśl, że znów piwo pilzneńskie podrożeje i to, jak powiadają, aż o cztery halerze na bombce, czyli, że odtąd zamiast dawnych piętnastu centów, będziemy zmuszeni za szklanekę tego nektaru płacić aż dwadzieścia jeden!

Czy nie jest to krzywda o pomstę do nieba wołająca?

I za to, że Niemcy drą się z Czechami, że sobie nawzajem podstawiają nogę, my mamy za to płacić?

Nie! Raczej wyrzekniemy się tej przyjemności, jaką jest gaszenie piwem pragnienia, albo zaczniemy używać któregoś z krajowych, n. p. żywieckiego lub okocimskiego. W niczem one pilznerowi nie ustępują, są wytworem krajowego przemysłu, co zaś najważniejsze, daleko mniej kosztują.

Podobno w tych dniach będzie zwołany ogólny wiec „pilznerowców“, którzy mają się zastanowić, co i jak czynić należy, by nie pokutować za winy niepopelnione.

Coraz więc gorsze nastają czasy, niedługo znajdziemy się w tem miłym położeniu, że przyjdzie zginąć z głodu i pragnienia.

Bo co już nie drożeje!

Nawet cesarsko królewskie wydawnictwo książek szkolnych postanowiło pójść w ślady rzeźników i piekarzy i od września podnieść ceny wszelkiego rodzaju podręczników dla szkół ludowych i wydzielowych. Podrożenie to jest wprawdzie małe, w każdym przecie razie odbija się dość dotkliwie na kieszeni biednych ojców, którzy dzieci swe muszą posyłać do szkoły.

Na całym świecie starają się ludzie o to, aby oświecenie jak najszerzych sfer o ile możności ułatwić, tylko u nas dzieje się wprost przeciwnie.

Ze zaś nie będzie lepiej, a przynajmniej nie tak predko, możemy się spodziewać choćby tylko ze względu na cudowną pogodę, jaką mamy tego roku.

Szczęśliwy, kto został w mieście, letnicy całymi tygodniami nie wystawiają nawet nosa na świeże powietrze. Leje i leje. Człek dziwi się, skąd się tam bierze tyle wilgoci.

Siano zgniło przeważnie, zboże jeszcze nie dojrzało, a już gnije, widmo głodu wisi nad naszym krajem, jak miecz Damoklesa. Nawet tak nieczuły na biedę pan, jak minister Zaleski, widział się zmuszonym wydać podwładnym urzędowi polecenie, aby w tym roku były względne przy ściąganiu podatków i czyniły możliwe ułatwienia.

I jak przy tem wyglądają owe „pomyślne konjunktury“ pana wiceprezydenta Szlachetowskiego?

Oj, że one są pomyślne, to każdy wie. Będziemy niedługo musieli się obywać bez butów i innych części garderoby, ośłodziemy sobie przecie dołę bieżącym cukrem, o ile *nota bene* fabryka tam powstanie.

Podobno, tak przynajmniej twierdzi *Gazeta poniedziałkowa*, ekszellenca Korytowski poczynił we Wiedniu starania, aby uzyskać od rządu jak najdalej idącą pomoc i pono usiłowania jego nie pozostały bez rezultatu, gdyż rząd wyasygnował znaczne sumy na rozpoczęcie robót publicznych.

A tymczasem wojsko stawia coraz to większe żądania, motywując je doświadczeniami, nabytymi w ostatnich czasach. Aczkolwiek przed dwoma laty przyobiecał solennie pan minister obrony krajowej, że dziesięć lat będzie siedział cicho i nie zażąda ani podwyższenia rekruta ani normalnych kredytów na wojsko, teraz woła „na razie“ o pięćdziesiąt tysięcy ludzi więcej (dalszy ciąg nastąpi), reorganizacja armii wymagać zaś będzie jednorazowego kredytu w kwocie „tylko“ czterdziestu milionów, a potem stale co rok po ośm milionów. Ale nie guldenów, broń Boże! tylko koron!

Jest to skutek zbrojeń, doprowadzonych rzeczywiście do absurdu, a zainicjowanych przez Niemcy, owego, jak słusznie powiadają, „sojusznika w lśniacej zbroi, z którego monarchia nie miała nigdy pozytywnego pożytku, ale którego życzenia stają się dla pewnych sfer austriackich poniekąd rozkazem“.

I jak tu marzyć choćby o poprawie stosunków ekonomicznych, skoro cały zasób gotówki musi być poświęcony wojskowemu Molochowi, a on mimo to wiecznie głodny i nienasycony.

Choćby nawet w parlamencie i odezwał się ktoś w obronie uciemnianych podatników, zamykają mu usta jednym frazesem: względy wyższej polityki!

A właśnie ta wyższa polityka kuleje coraz bardziej. Madziarzy, którzy prawie całą austriacką dyplomację ujęli w swe ręce i nadają jej ton, jaki

im jest wygodniejszy, z pobudek narodowych i osobistych sprzeciwiają się załatwieniu sprawy południowo-słowiańskiej, która jest prawdziwą bolączką naszej monarchii.

Ich także wina, że kierownicy austriackiej polityki zagranicznej w ostatnich czasach nastrzelali tyle bąków, że dla kogo innego już ich nie wystarczy. Należałoby ustanowić dla nich, w myśl ustawy łowieckiej, jakiś czas ochrony.

Już to rzeczywiście nie mieliśmy szczęścia na Bałkanie, na każdym kroku prześladowało nas nieublagane *fatum*. Wystarczy powiedzieć, że nawet ambasador austriacki w Konstantynopolu, margrabia Pallavicini, wbrew swej woli skąpał się w morzu, dzięki Bogu jednak na tem się tylko skończyło. Ale dostąpił zato zaszczytu, gdyż sam sułtan jegomość raczył się dowiadywać, czy też nie poniósł jakiegoś szwanku na zdrowiu.

Ile niespodzianek czeka nas jeszcze *ex re* wojny bałkańskiej, tego nikt powiedzieć nie może, są nawet tacy, którzy powiadają, że to nie koniec, skoro bowiem Turcy odebrali napowrót Adrianopol, kto wie, czy nie pokuszą się także i o wyspę Ada Kaleh, którą im pan Berchtold zabrał *jure caduco*.

Wypadałoby także, aby Serbowie i Grecy wzięli się troszkę za łby, wiadomo bowiem, że wielka przyjaźń kończy się zazwyczaj wojną.

Jeśli można wierzyć dotychczasowym relacjom, sprawa pokoju i ostatecznego uporządkowania spraw bałkańskich jest na najlepszej drodze, choć zawarcie pokoju pociągnie za sobą ogromnie doniosłe następstwa natury gospodarczej i politycznej.

Austria, której najżywotniejsze interesy wiążą się z półwyspem, nie będzie mogła siedzieć z założonymi rękami, a takich, jak ona, jest więcej.

Możemy więc czekać nowych niespodzianek!

A tymczasem deszczyk ani myśli przestać padać, w poniedziałek zaś zamienił się w prawdziwe oberwanie chmury, które miało tę jedną dobrą stronę, że wypłukało śmieci z całego miasta i uniosło je do modrej Wisłki. We wtorek mieliśmy już pogodę, nie chcę jednak przepowiadać, że będzie ona stała, gdyż w ostatnich czasach wszystkie moje przepowiednie tak polityczne, jak meteorologiczne, przeważnie się nie spełniły.

Zawiodły i przepowiednie górali, którzy podobno znają się bardzo dobrze na pogodzie. Utrzymywali, że lato będzie suche i skwarne, widzimy, że jest akurat wprost przeciwnie, ale znów pocieszają nas, iż od piętnastego sierpnia możemy być pewni stałej pogody, która potrwa już do późnej jesieni.

Najgorzej na tej przekłetej aurze wyszli słomiani wdowcy, którzy nie mogli się tak zabawić w czasie nieobecności swych połowic, jakby pragnęli. Z konieczności trzeba było siedzieć albo w domu, albo w knajpie. Nosy pospuszczone na kwinty, humory rzeczywiście „pod psem“, słowem prawdziwa kaniukła, choć w innym, niż zazwyczaj wydaniu.

Przy tej sposobności, badając życie i zwyczaje słomianych wdowców, przekonałem się, że bardzo wiele czasu spędzają oni w tak zwanych nocnych kawiarniach, jakich się w Krakowie w ostatnich czasach ogromnie wiele namnożyło.

Są to instytucje, jakby dla słomianych wdowców stworzone. Przez cały dzień nie ujrysz tu żywego ducha, ruch zaczyna się dopiero późnym wieczorem i trwa prawie aż do białego rana, choć i tutaj daje się odczuć ogromny zastój i brak monety.

W każdym z tych lokali przygrywa mniej lub więcej fałszywie orkiestra, przeważnie damska, zbierająca zato bardzo pilnie na talerzyk pięciocentówki i szóstki, ginące potem w bezdennym worku pana dyrektora, takie bowiem miano nosi zwykle kapelmistrz.

W niektórych „kawiarniach“ można się okupić, składając jednorazowo koronę, za co otrzymuje się tak zwaną *Enthebungskarte*, wystawioną w języku niemieckim, gdyż ten w tego rodzaju przedsiębiorstwach ma stanowcze pierwszeństwo.

Wybór potraw i napoi pozostawia bardzo wiele do życzenia, ceny natomiast są wyśrubowane aż do niemożliwości. Zdarzyło mi się raz w życiu spotkać kelnera z takiej nocnej kawiarni w pewnym handlu win. Zamawiał sześć butelek wina węgierskiego po koronie, wymagał jednak, aby flaszki były elegancko okablowane.

Pytam go, poczem będą sprzedawać to wino, odpowiedział całkiem spokojnie, że po pięć koron.

To rozumiem, to jest interes, czysty, jak złoto! W tym samym stosunku ustanowione są ceny i innych artykułów spożywczych. Od czasu do czasu znajdzie się naiwny gość, który postawi i szampana, a może być pewnym, że otrzyma go pierwszej marki z renomowanej krajowej fabryki na Kaziemierzu, ale z etykietą francuską...

Pisałbym jeszcze, boję się jednak zemsty ze strony słomianych wdowców, którzy z pewnością wypowiedzą mi walkę na śmierć i życie, iż poważylam się zdradzić tak straszną tajemnicę, gdzie oni spędzają czas swego chwilowego wdowieństwa.

Niech jednak mszczą się, ja wiem, że działam w imię dobrej sprawy. To ich chyba także powinno pocieszyć, że i ja sam kręcę równocześnie bicz na siebie, gdy bowiem moja stara to przeczyta, jestem pewny, że zjawi się w Krakowie i spyta mnie wielkim głosem:

— A ty, grzeszniku, skąd wiesz o tem wszystkim?

Odpowiem jej bez trwogi, że jako kronikarz muszę przecie znać życie we wszelkich jego przejawach i robić odpowiednie studia. Wątpię jednak, czy będzie chciała w to uwierzyć.

Każdy z was, zacni towarzysze niedoli wakacyjnej, niech robi tak samo, a może będzie mieć spokój.

Ogromnie ucieszyła mnie wiadomość, jaką czytałem w pismach codziennych, że pan *Kurdiraktor* w Sobotach, widocznie prawy hakatysta, odezwał się publicznie, że *wir brauchen hier keine Polen!*...

Bardzo znamienne odezwanie, być może, że wpłynie ono na naszych kuracuszów, aby Szwabom swymi pieniędzmi kieszeni nie wypychali. Jeśli już ktoś chce koniecznie udawać w morzu śledzia, sardynkę lub wieloryba, niech szuka takiego miejsca, gdzie za jego własne pieniądze będą się z nim po ludzku obchodzić. Wszak mamy kąpiele morskie i w innych krajach!

Panu *Kurdiraktorowi* muszę zaś otwarcie powiedzieć, że bardzo lichy zeń kupiec, czy przemysłowiec. Interes nie powinien nigdy nic wspólnego mieć z polityką, bo na tem tylko cierpi. Ponieważ *gros* gości w Sobotach stanowią Polacy, jeśli oni zbojkotują uzdrowisko, któż szkodę materyalną poniesie? Sami właściciele, hotelarze, restauratorzy, kupcy i przemysłowcy. Nie wiem, czy będą oni tak bardzo wdzięczni panu *Kurdiraktorowi*, który im oddał prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Z okazji tegorocznego kongresu partii socjalistycznej w Niemczech, który odbędzie się w Jenie, dowiadujemy się ze sprawozdania zarządu centralnego, iż socjalizm niemiecki, dotąd tak potężnie rozwijający się, zaczyna się powoli cofać. Liczba członków partii w roku sprawozdawczym tak minimalnie się zwiększyła, że właściwie można mówić o zastoju w rozwoju, zmniejszyła się też liczba abonentów pism partyjnych.

Głównego kontyngentu nowych członków (ponad dziesięć tysięcy) dostarczyły kobiety.

Dla partii wojującej, a jest nią socjalizm, takie drobne cofanie się jest bardzo złym znakiem. Widocznie hasła, głoszone przez następców Marksa, Engelsa i Liebknechta, zaczynają się przeżywać.

O najważniejszej rzeczy byłbym na śmierć zapomniał! Pod Mogiłą, owem miejscem, dokąd Krakowianie tak chętnie robią wycieczki, odkopano starą osadę przedhistoryczną i znaleziono... koronę, ale nie austriacką, lecz, jak sobie opowiadano, samej królowej Wandy! Radość między archeologami okropna, przygotowano trzy wagony papieru na rozprawy i zamówiono całą cysterne atramentu...

Pokazało się jednak, że to nie była korona, ale jakiś stary łańcuszek, zgłosił się nawet pewien jegomość, który twierdził (nie wiem, czy mu można wierzyć), że przed laty dwoma zgubił tam łańcuszek od parasola, mający wielką wartość archeologiczną, parasol ten odziedziczył bowiem po dziadku. Archeologowie, konserwatorowie i inni, mniej lub więcej powołani znawcy sztuki będą więc mieli nie-lada orzech do zgryzienia.

Niczem przed laty walka o ruiny po szpitalu św. Ducha, potem o rudere koła kościoła św. Idziego! Będzie teraz dopiero można popisać się znawstwem sztuki i zdobyć sobie ostrogę na tem polu. Już widzę, ile to rozpraw ujrzy światło dzienne. Pierwsza z nich powinna nosić tytuł: „Parasol czy korona“, i wyjść nakładem Akademii Umiejętności, oprawna w cielecą skórę, albo może nawet w pergamin.

IKA-ABADIE

TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek farbowych, wyłącznie we fabrykach

„Société Abadie w Paryżu“

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.